

KONKURS

Co jak co, ale dobra spostrzegawczość u inowca jest konieczna. Warto więc ćwiczyć ją przy każdej nadarzającej się okazji. Zatem wyteż wzrok i znajdź na zimowych obrazkach sześć różniących je szczegółów. Nadeślij odpowiedź na adres redakcji, a może wylosujesz na marcowym Zaw-Orze jakiś upominek...

www.mkino.prv.pl



AZYMUT WARSZAWSKI – pismo uczestników InO

Wydaje: Mazowiecka Komisja Imprez na Orientację PTTK

Redaktor Naczelny: Stanisław Łuć E-mail: luciak@op.pl

Autorzy materiałów numeru 41: Janusz Cegliński, Tomasz

Gronau, Sławomir Frynas, Stanisław Łuć, Maciek Ostrowski,

Krzysztof Stańczyk, Anna Trykozko, Dariusz Walczyna.

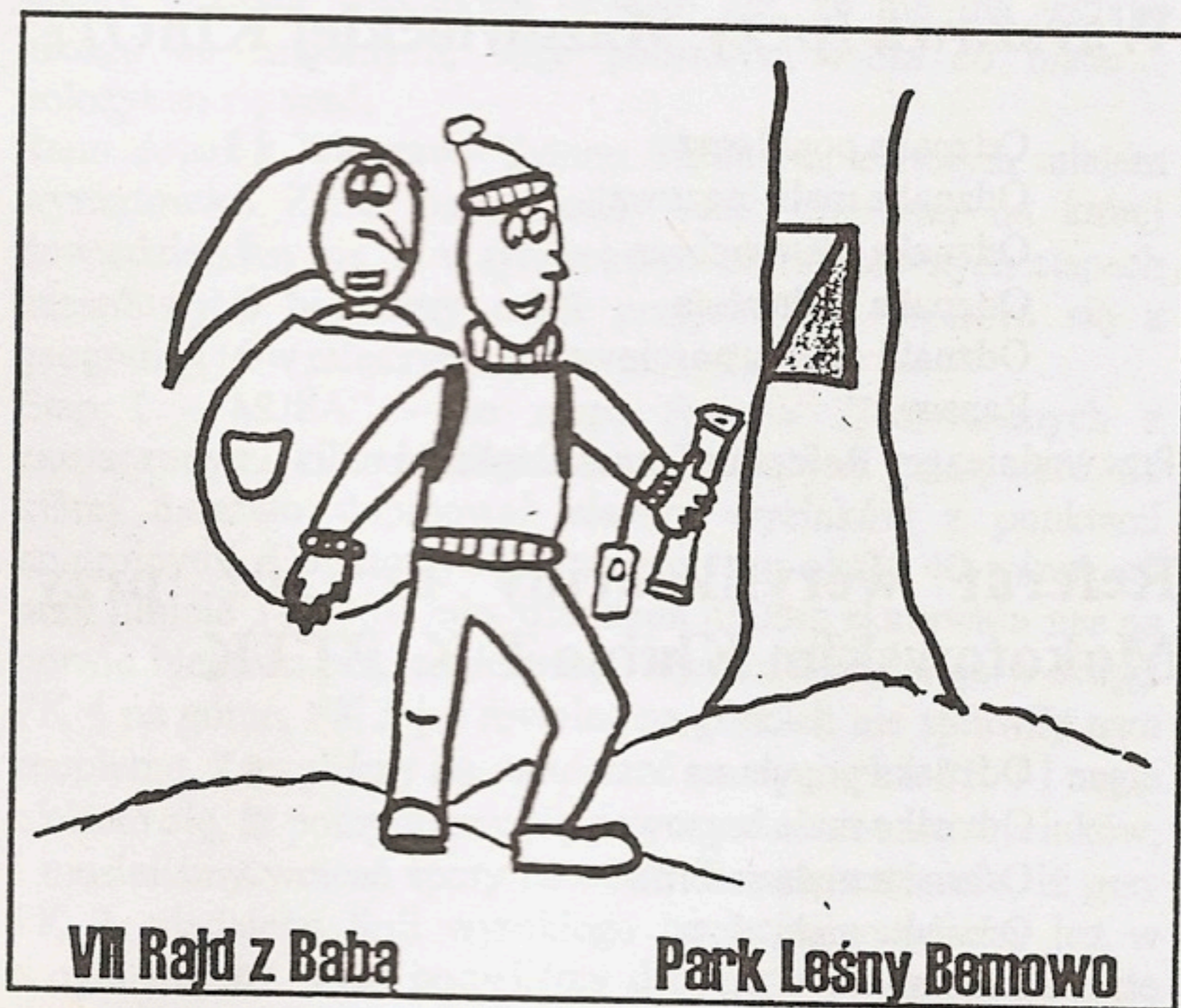
Powielanie: Krzysztof Stańczyk

Nakład: 60 egz.

Adres do korespondencji: Stanisław Łuć 01-842 Warszawa

ul. Reymonta 10A m. 237

AZYMUT  **41**
WARSZAWSKI
PISMO UCZESTNIKÓW I SYMPATYKÓW IMPREZ NA ORIENTACJĘ



VII Rajd z Baba

Park Leśny Bemowo

26 lutego 2005

KOMUNIKATY MAZOWIECKICH REFERATÓW WERYFIKACYJNYCH

W rejonie działania Mazowieckiej KInO funkcjonują obecnie trzy referaty weryfikacyjne Odznaki Imprez na Orientację. Oto komunikaty o ilości zweryfikowanych odznak w roku 2003.

Referat Weryfikacyjny nr 100 Warszawa (przy Mazowieckiej KInO)

Odznaka popularna	13
Odznaka mała brązowa	7
Odznaka mała srebrna	4
Odznaka mała złota	0
Odznaki okolicznościowe	0
Razem	24

Przewodniczący Referatu: Janusz Cegliński

Referat weryfikacyjny nr 102 przy Mokotowskim Klubie T-K PTTK

Odznaka popularna	8
Odznaka mała brązowa	2
Odznaka mała srebrna	-
Odznaka mała złota	-
Razem	10

Przewodniczący Referatu: Krzysztof Stańczyk

Referat Weryfikacyjny przy Oddziale PTTK w Otwocku
(Przewodniczący Referatu: Paweł Ajdacki) nie nadesłał
dotychczas sprawozdania.

LILIJKĄ 160

Po ubiegłorocznej Lilijce w Wiązownej, która zapisała się w mej pamięci ciekawymi i przyjemnymi trasami, z niecierpliwością oczekiwałem na kolejną edycję tego rajdu organizowanego przez warszawskie środowisko harcerskie. W tym roku bazę tego trzyetapowego rajdu stanowiła szkoła podstawowa w Starej Wsi koło Celestynowa, do której wyruszyłem z Lublina już w piątek wieczorem. Po dotarciu do szkoły późnym wieczorem okazało się, że nie ma jeszcze nikogo ze znajomych, więc podjadłem sobie co nieco i położyłem się spać.

Rano dotarł z Warszawy Tymon Skadorwa, z którym miałem wystartować. Zaraz potem odbyła się odprawa, na której dowiedzieliśmy się, iż w tym roku po ubiegłorocznych etapach hazardowych będziemy mieli przyjemność zmierzyć się z geografiami i to w międzynarodowym wydaniu.

Etap I – „USA” – to mapa Stanów Zjednoczonych z zaznaczonymi kilkoma stanami zawierającymi pełną treść, do której należało dopasować siedem wycinków z punktami kontrolnymi. Dopasowywanie zajęło nam około 40 minut, co przy limicie 110 +30 min. dla etapu 4600m skazywało nas na prawie biegowe pokonanie trasy. Wyruszyliśmy więc w drogę. PK 4 na górze, PK 5 i 6 również na górkach nie sprawiły nam problemu. Zaczęliśmy się namierzać na wycinek z PK 7 i nagle okazało się, iż pomyliliśmy się przy wpasowywaniu wycinków, i musieliśmy wracać spory kawałek. To spowodowało, iż przy PK 2, niedaleko linii wysokiego napięcia, weszliśmy już w drogę minuty, więc podjęliśmy decyzję o powrocie na metę licząc, iż po drodze złapiemy brakujący nam PK 3. Niestety przeszliśmy tuż obok niego i wróciliśmy na metę ponad 10 minut w drogim czasie. Wynik ponad 250 punktów karnych przy stałej etapu 630 i czystym przejściu konkurentów skazywał nas na dalekie miejsce w klasyfikacji.

Po chwili odpoczynku w bazie wystartowaliśmy do drugiego etapu dziwiąc się, że ci, którzy wystartowali ponad pół godziny temu jeszcze nie wyszli z bazy. Mapę etapu pod nazwą Burundi stanowiła flaga tego kraju z wycinkami w trzech skalach, oraz trzema gwiazdkami w środku zawierającymi elementy mapy również w 3 skalach. Siedząc ponad godzinę próbowaliśmy dopasować fragmenty, ale w ogóle nie mogliśmy znaleźć przejścia między dwoma fragmentami w skali 1:25000. Limit czasu 120 +30 min. dla trasy ponad pięciokilometrowej – bez dodania czasu na rozwiązanie nierozwiązywalnej dla normalnego człowieka koncepcji – wydawał się wyśrubowany i znowu skazywał nas na wejście w drogie minuty. Cóż, wiedząc gdzie znajduje się 5 z 11 punktów wyszliśmy na trasę. Radzi nie radzi musieliśmy zacząć od PK 1 (wymagała tego kolejność obowiązkowa – tylko po co i dlaczego – tego nie wiem) dalej wzięliśmy punkty z gwiazdek 2, 3, 4 i punkt 4 z gwiazdki w skali 1:25000. Do końca limitu spóźnień zostało nam 10 minut, więc postanowiliśmy pomału wracać do bazy. Idąc zielonym szlakiem widzimy kilka rozwieszonych lampionów i nagle olśnienie – mamy jar z PK 7, sprawdzamy czy jest PK 8 w następnym jarze. Podbijamy je i po drodze bierzemy coś, co „niby” pasowało do szóstki, (ale pasowało tylko do punktu mylnego). „Tylko” 16 drogich minut bez czterech punktów i razem nieco ponad 600 punktów karnych okazało się dobrym wynikiem, dzięki czemu odrobiliśmy część strat.

Po obfitym obiadku z niecierpliwością oczekiwaliśmy na etap nocny. Mapę tego etapu o dźwięcznej nazwie MCSKWA stanowił plan centrum rosyjskiej stolicy, przy czym część ulic opisano za pomocą alfabetu łacińskiego, a część cyrylicą. Naszym zadaniem było zaplanować dwie trasy o długości 4100m z sześcioma PK (dla każdej z tras), przy założeniu, że samochód wyrusza z jednej ulic otaczających Kreml przejeżdżając po drodze naprzemian ulicą opisaną cyrylicą i alfabetem łacińskim. Niby proste – prawda? – ale pierwszą

trasę znaleźliśmy z pomocą konkurencji po 40 minutach. Natomiast drugą, która de facto nie spełniała warunków zadania – po kolejnych 40 minutach. Tak więc na czterokilometrowe przejście zastało nam 70 + 40 min. Zaczęliśmy od PK 1 i 2 z pierwszej trasy, potem 5 i 6 z drugiej, dalej zebraliśmy resztę punktów z trasy pierwszej, klucząc pomiędzy płotami, siatkami i innymi typami ogrodzeń, którymi uraczyła nas cywilizacja. Następnie przeszliśmy do północnej części trasy. Idąc ulicą Dąbrowskiej w Glinnej znaleźliśmy PK 2, 3, 4 (znowu szukanie numerów posesji), a przy PK 4, przy cieku wodnym straciliśmy kilka minut, co zawdzięczamy niezbyt dokładnemu liczeniu odległości. Na metę znowu dotarliśmy w drogich minutach.

Po podliczeniu wyników końcowych okazało się, iż zajęliśmy 3 miejsce. Tegorocznej Lilijki nie uważam za udaną. Trasy szczególnie E 2 i E 3 były strasznie przekombinowane i mocno niedopracowane, a limity czasowe nie uwzględniały czasu dodatkowego na rozwiązanie problemów związanych z mapą. No i odwieczny problem Lilijki: chodzenie po terenie mocno zurbanizowanym, szczególnie w nocy nie wzbudza zaufania i sympatii mieszkańców, (czemu się osobiście nie dziwię), a chyba nie bardzo zadowala startujących.

Obserwując imprezy TMWiM, na których ostatnio startowałem zauważyłem dosyć dziwne zachowanie organizatorów. Niektórzy zbierają lampiony jeszcze w trakcie, gdy po lesie maszeruje większość startujących (coż niech się uczestnicy męczą, a zresztą, po co przyjechali na zawody – mogli przecież siedzieć w domu). Niektórzy budowniczy nie potrafią (lub złośliwie nie chcą) we właściwym miejscu postawić lampionu i przy okazji mają duże problemy z sędziowaniem. Niby chodzimy na zawody dla własnej nieokiełznanej przyjemności (szczególnie w moim przypadku wymaga to zazwyczaj nocnego wstawania i długiej podróży do Warszawy) i zabawy,

ale szanujmy się nawzajem i starajmy się wszystkich traktować jednakowo.

Sławomir FRYNAS

CIENKIE CIENIASY

Pozornie wszystko przebiegało tak jak zwykle. Przygotowania zaczęły się jak zwykle, z odpowiednim wyprzedzeniem. Jak zwykle powstała jakaś koncepcja imprezy, jak zwykle nie było komu kupić map, jak zwykle gromadziłem dokumentację i faktury w osobnej teczce z napisem „Cieniasy 2004”. Zrobiliśmy z Januszem i Leszkiem oględziny terenu i tu pierwsza niespodzianka: fort Bema zmienił swój wygląd. Prowadzone prace porządkowe spowodowały usunięcie wszystkich krzaków i zarośli, umocniono częściowo skarpy ziemne, zbudowano nowe mosty, w otoczeniu poprowadzono nowe alejki. Fort zmienił swój wygląd (czy na lepsze?), niestety, wciąż nie zadbano o zabytkowe budowle, które przede wszystkim czekają na gospodarza z prawdziwego zdarzenia. Na razie w kazamatach gospodarzą bezdomni.

Dotarliśmy do dyrektora klubu „Legia”, uzgadniając sposób przeprowadzenia imprezy, rejon przebiegu tras, zakres odpowiedzialności i składając stosowne pisma. Kuba Cegliński przekładał już moje koncepcje tras na ekran komputera, Leszek Herman-Iżycki gościnnie zaproszony do współpracy wykonał serię zdjęć i walczył z punktem foto, Halina Ceglińska zamawiała drożdżówki, Michał Szrajber drukował plakietki i nagle...

W środę poprzedzając zawody zadzwonił mój telefon. Uprzejma pani z „Legii” przekazała mi wątpliwości, czy klub jest gospodarzem terenu, o który nam chodzi i poprosiła o kontakt z zastępcą dyrektora do spraw...

Kiedy udało nam się zastać wicedyrektora, okazało się, że gospodarzem fortu jest gmina Bemowo. Czas naglił. Przy użyciu telefonu i faksu przekazałem informację o mającej się odbyć imprezie z prośbą o „wyrażenie zgody”. Zgoda nie nadeszła.

W przeddzień imprezy rozstawialiśmy trasę z Januszem. Leszek wyjechał na Harpagona i musieliśmy rozstawić także jego trasę. Zostawiliśmy to na niedzielny poranek. To był błąd. W niedzielę rano (18.04.2005) lało. Nie intensywnie, ale uciążliwie. Leszkowe koncepcje niełatwo było wcielić w życie, czas uciekał. Pojawili się już pierwsi uczestnicy, gdy schodziliśmy na parking. Pozostało podjechać w rejon startu we wnętrzu fortu, ustawić to i owo, rozwinąć start i zaczynać.

I tu kolejna, przykra niespodzianka. Ochroniarz odmówił wpuszczenia na teren. Zażądał zgody pana X z gminy Bemowo. Pan X był na urlopie...

Mimo niedzieli i urlopu dotarliśmy (telefonicznie) do niego. Po kilkunastominutowej rozmowie stanęło na tym, że wjechać możemy, ale natychmiast musimy wyjechać. Tymczasem zgromadzili się już uczestnicy, minęła godzina startu, zaczęła napływać młodzież na trasy TP, które startowały godzinę później. Trzeba było wypuszczać TSów, którzy niecierpliwili się coraz bardziej. Ekipa pomocników – uczestników kursu OT rysowała kółka na mapach dla początkujących i przepisywała opis trasy ręcznie, bo oczywiście nie wszyscy zdecydowali się zapowiedzieć swoje przybycie.

Włosy mi stanęły na głowie, gdy uświadomiłem sobie, że w tym całym zamieszaniu nie dokończyliśmy rozstawiania trasy dla dzieci. Wysłałem co prędzej Janusza z tą misją. W jego oczach zobaczyłem – no, może nie pragnienie mordy – ale niechęć z pewnością. Sam zresztą nabrałem do siebie szczególnej niechęci, kiedy uprzytomniłem sobie, że nie postawiliśmy dwóch punktów w okolicach startu (żeby za wcześnie ich nie zobaczono), a juniorzy już krążyli po trasie

swojej pamięćówki. Niechęć do siebie nabierała barw coraz żywszych, bo dotarło do mnie również, że Janusz (rozstawiający trasę TP) miał przywieźć drożdżówki. Miał również przywieźć na start obsługę sekretariatu oraz pomoc wszelaką w osobach Halinki i Anki. Już nawet nie wiem jak on to wszystko pogodził. Faktem jest, że dzięki niemu obsługa pojawiła się na imprezie, trasy stanęły, (choć z jednym niezamierzonym BPK), drożdżówki dojechały, a zdążył jeszcze pogadać z uczestnikami, ba pożartować... Jak on to robi? Zawsze ma na wszystko czas...

Ja natomiast borykałem się z wypuszczaniem zawodników na TS, TJ, potem TP. Ci ostatni, mimo że ich start miał niewielkie opóźnienie, byli najbardziej niecierpliwi. Szczególnie ci, którzy przybyli bez zapowiedzi, ale za to pół godziny przed godziną startu. Wiatr porywał mi mapy i karty, świeżo wręczony puchar za lubelskie WAMnO służył za przycisk. Deszcz na szczęście przestał padać, zaświeciło słońce. Mając jednak w pamięci śliskie skarpy, stromizny i kilkumetrowe przepaście na fortach drżałem o szczęśliwy powrót wszystkich uczestników. Przybyły wprost z Harpagona Leszek z odsieczą w postaci Ani Trykozko już podczas trwania E1 dla juniorów dostawiał brakujące punkty. Podziwiałem jego heroizm: po pokonaniu stukilometrowej trasy pieszej i kilkusetkilometrowej trasy samochodowej jeszcze pomagał nam przy imprezie, a po niej jeszcze pozbierał punkty. Podczas trwania E2 dla seniorów ustawialiśmy drugie stanowisko ze zdjęciami, które z założenia miało być dostępne od początku. W międzyczasie odbierałem telefony od pana X, który pytał czy wszystko w porządku i czy panujemy nad sytuacją, przestrzegając jednocześnie przed paleniem ognisk. Powracający z E1 seniorzy sypali gromy na moją głowę za koncepcję trasy i zbyt krótki limit. Powracający z TP pytali czy BPK na ich trasie był zamierzony i czy powinien stać na szopie, czy na skrzyżowaniu ścieżek?

O matko!!!

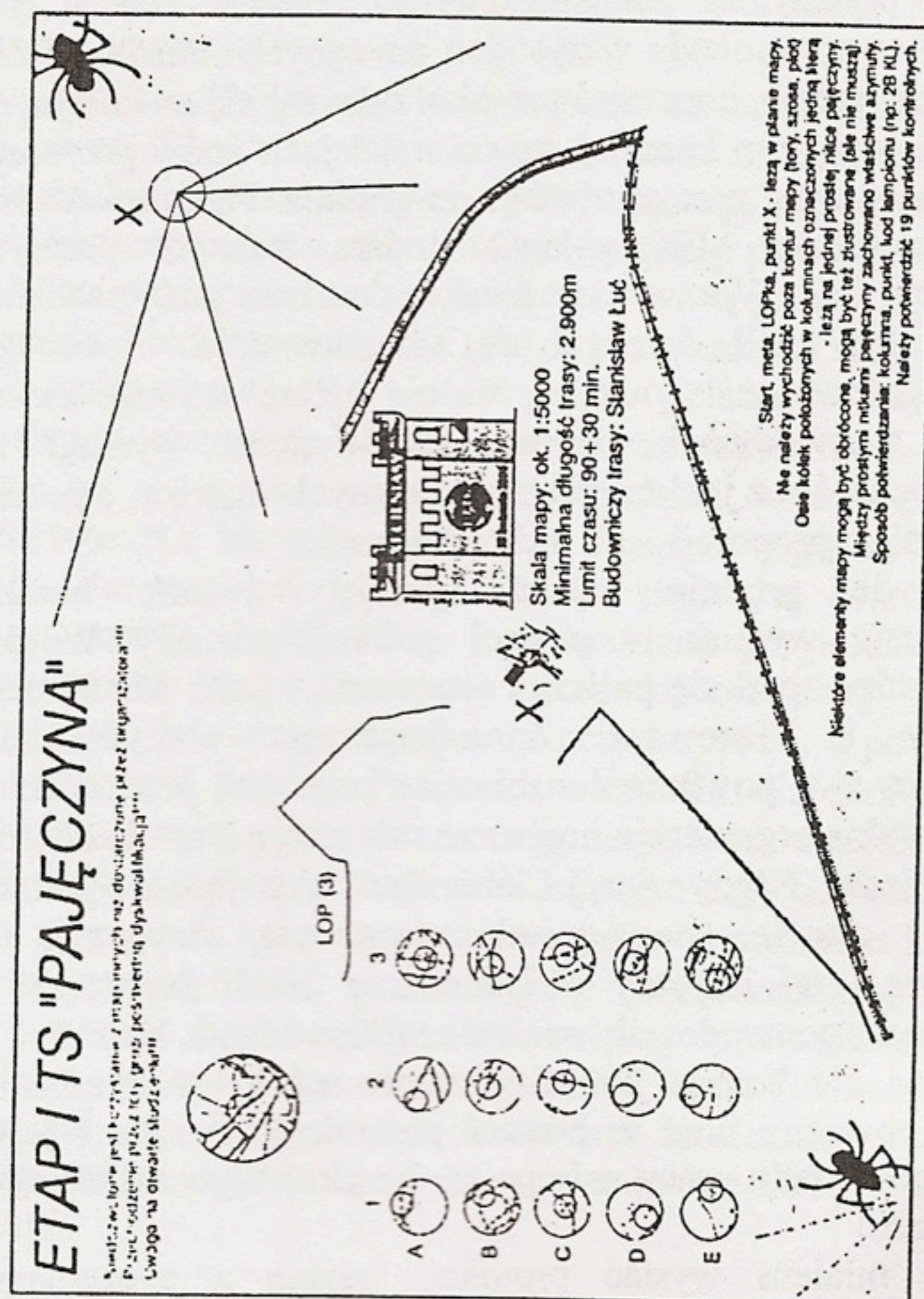
Czy można się dziwić, że kiedy wróciłem do domu, nawet myśleć mi się nie chciało o tej imprezie? Odłożyłem dokumentację i przez kilka dni próbowałem ochłonać. Potem rzuciłem się w wir pracy, z rzadka odwiedzając dom rodzinny. Potem przyszły wakacje i chęć odpoczynku. Przeanalizowałem wyniki drugiego etapu nadesłane przez Leszka, policzyłem TP, wreszcie policzyłem też etap pierwszy TSów. Ale w tym momencie wspomnienie wszystkich doznanych stresów kazało mi odsunąć teczkę imprezy i protokół odsunął się na kolejnych kilka miesięcy, tym bardziej, że po wakacjach znów przyszedł okres intensywnej pracy i trwał aż do grudnia. Przeprowadzone w międzyczasie MiKowManO dodało uczucia przesytu organizacją InO. Wprawdzie od czasu do czasu jakiś nachalny telefon, albo mail domagał się uhonorowania włożonego wysiłku końcowymi wynikami, ale nie byłem w stanie nawet policzyć sumy dwóch etapów. Jak wiadomo wymaga to liczenia punktów z jakichś skomplikowanych wzorów, a potem przeliczania z proporcji – po prostu horror.

W połowie grudnia żądania przyjęły jednak bardzo kategorię wymiar w postaci groźnej postawy Wojtka Drozdy, który uparł się policzyć ostateczne wyniki Mistrzostw Warszawy i Mazowsza. Z najwyższym obrzydzeniem wykonałem swą powinność nabierając przy tym przekonania, że dobrowolna organizacja imprez na orientację jest niezmierną głupotą. Hasło „Nigdy więcej Cieniasów!” błakające się po mej skołatanej głowie spowodowało ostateczną rezygnację z umieszczenia tej imprezy w kalendarzu 2005. Sentyment i zobowiązania spowodowały ocalenie MiKowManO. Na razie. To jeszcze nie koniec. Protokół zamieszczony w Internecie zawierał poważny błąd w postaci pominięcia Leszka i jego ogromnego wkładu pracy w imprezę. Leszku! Wybacz! Gorąco przepraszam!

Gdy już miałem wysłać protokoły razem z życzeniami noworocznymi, okazało się, że zaginęły karty zgłoszeniowe z

adresami uczestników. Już się znalazły. Teraz czekam na wydrukowanie dyplomów (zapłaconych) upominając się telefonicznie co tydzień. A przecież to nie były trzynaste Cieniasy...

Stanisław ŁUĆ



DYMNO 2004

DLUGODYSTANSOWY MARSZ NA ORIENTACJĘ

W dniu 8 maja 2004 roku odbył się VI Długodystansowy Marsz na Orientację „DYMNO 2004”. Zawody zostały rozegrane w Falenicy i okolicach, w terenie urozmaiconym licznymi wydmami.

Zadaniem uczestników imprezy było pokonanie trasy wyznaczonej w terenie za pomocą punktów kontrolnych. Przewidziano kilka rodzajów tras:

TRASA A – indywidualny marsz na orientację na dystansie 50 km (w trzech etapach o długości 25 km (13 PK)+ 15 km (9 PK) + 10 km (14 PK)) w czasie 12 godzin;

TRASA B – indywidualny bieg na orientację na dystansie 50 km (w trzech etapach o długości 25 km + 15 km + 10 km) w czasie 10 godzin;

Trasy A i B pokrywały się.

TRASA C – indywidualna rowerowa jazda na orientację na dystansie 100 km (w trzech etapach o długości 50 km + 25 km + 25 km) w czasie 10 godzin.

Ponieważ od pewnego czasu bardzo polubiłam długie marsze, postanowiłam wystartować na trasie pieszej. Uznałam, że impreza ma same

ZALETY.

Zaletą, choć ekstremalni orientaliści mogą to uznać za wadę, w porównaniu z „tradycyjnymi” marszami na orientację jest posiadanie pełnej mapy. Żadnych wycinanek, luster i innych zdeformowanych zagadek – tylko kolorowe, pełne mapy (w skali 1:15000 na dwóch etapach oraz 1:10000 w trzecim etapie). Co więcej, nie ma punktów stowarzyszonych... czy można wyobrazić sobie coś łatwiejszego? Po prostu trasa TP – dla początkujących. Ponadto czas startu oraz limit czasu został dobrany tak, że całość trasy powinno pokonać się przy świetle dziennym. Nie da się ukryć, że w ogóle nie dopuszczałam

możliwości wystąpienia jakichkolwiek trudności w zaliczeniu całej trasy.

A tu od razu kuba zimnej wody (i to prawie dosłownie, bo przez jakiś czas po starcie padało). Pierwszy etap, 25 km, należało pokonać w ciągu 6 godzin. Oznacza to, że poruszając się w tempie 5 km na godzinę uzyskuje się godzinę „rezerwy” na błędzenie i szukanie punktów. Niestety, w moim przypadku, to wyliczenie okazało się teorią. Za wolno szłam, zbyt dużo błędziłam, zbyt długo szukałam punktów, wystąpiło poza tym wiele przeszkód innej natury (w tym zgubienie karty przez idącego ze mną Bartka N. i konieczność jej szukania) – skutek był taki, że na mecie pojawiłam się z kilkunastominutowym opóźnieniem w stosunku do obowiązującego limitu. I właściwie historia mojego startu w Dymnie powinna się w tym miejscu zakończyć, bowiem w regulaminie imprezy znajdował się

PUNKT,

w którym stwierdzano, że: „po przekroczeniu limitów czasowych uczestnik jest wycofywany z trasy i ma zaliczony poprzedni dystans...” Czyli... po zawodach. Przynajmniej dla mnie.

Na szczęście był to koniec tylko formalny. Udało mi się wyprosić (a raczej... wypłakać) u organizatorów mapę na kolejny etap, w którym startowałam już poza konkurencją.

I oto drugi etap udało się pokonać nieco szybciej (relatywnie) od poprzedniego. Zaś etap trzeci (też rozgrywany poza konkurencją), który w odróżnieniu od dwóch poprzednich był scorelaufem, (dowolna kolejność potwierdzania PK), jeszcze szybciej. Niestety, opóźnienia z pierwszego etapu nie udało się w pełni nadrobić i przejście 50 km zajęło mi nieco więcej niż regulaminowe 12 godzin. Co nie zmienia faktu, że bardzo się cieszę, że pozwolono mi przejść cały dystans. I może niech to zadowolenie z pokonania 50 km (zamiast tylko „zaliczonych” 25 km) będzie argumentem dla organizatorów przemawiającym na korzyść dokonania zmian w regulaminie kolejnych

zawodów. Rozumiem racje organizatorów, którzy nie chcą i nie mają możliwości do północy czekać na powołanych piechurów – z drugiej strony fakt, że trasa składa się z trzech pętli, daje możliwości złagodzenia regulaminu. Teraz pora na małe **PORÓWNANIE.**

Na podstawie własnych doświadczeń mogę spróbować porównać DYMnO z innymi długodystansowymi imprezami, w których brałam udział. Jest to impreza zdecydowanie łatwiejsza od Harpagana (100km w 24 godziny, 2 etapy: 50km + 50 km, mapa w skali 1:50000), zarówno z powodu dystansu, skali i lepszej aktualności mapy oraz faktu, że jest rozgrywana za dnia. Z kolei porównanie z Maratonem Kampinoskim jest trudne o tyle, że podczas Maratonu w zasadzie jedynym problemem jest zmaganie się ze zmęczeniem i własnymi nogami, natomiast nie ma żadnych problemów z orientacją w terenie oraz szukaniem punktów kontrolnych. W tym aspekcie DYMnO jest imprezą ciekawszą – co nie zmienia faktu, że chodzenie po Puszczy Kampinoskiej również jest bardzo przyjemne. Na zakończenie **UWAGI OGÓLNE.**

Impreza była doskonale przygotowana. Z pewnością jej zorganizowanie było bardzo pracochłonne dla grona organizatorów (wśród nich: kierownik imprezy Andrzej Krochmal, budowniczy tras: Andrzej Krochmal i Jan Cegiełka, sędzia główny: Andrzej Kędziorek oraz inni) i szkoda, że frekwencja na zawodach nie była duża. Jeśli ktoś boi się dystansu – to niesłusznie. Rozbicie trasy na trzy etapy pozwala na bezbolesne wycofanie się z zawodów w przypadku zbyt dużego zmęczenia (ewentualnie „zrobią” to za nas organizatorzy). Dodatkowym ułatwieniem jest pobyt w bazie po zakończeniu każdego etapu, co pozwala znacznie zredukować ekwipunek niezbędny na trasie.

Gorąco zachęcam do wzięcia udziału w kolejnym DYMnie!

Anna TRYKOZKO 13

WIMNO 2004

WiMnO 2004, przeprowadzone przez Grupę Aktywnej Turystyki WAL-KA (<http://gatwalka.republika.pl>), rozpoczęło się od przygotowań merytorycznych przeprowadzonych przez nieocenioną Anię Tybuś-Kamela w sprawie załatwienia pozwolenia w Urzędzie Dzielnicy Ochota wejścia z InO na teren Parku Szczęśliwickiego, bo tam zaplanowane zostało WiMnO. W końcu wstępna zgoda została udzielona ustnie i mogliśmy rozpocząć prace planistyczne. Przeprowadzone wizje lokalne oraz inne rozpoznania umożliwiły wstępne usytuowanie bazy imprezy. Miało to być przy ulicy Drawskiej, ale jeszcze tylko konkretnie przy pętli czy pubie? Oto było pytanie:) Po negocjacjach decyzja, że start będzie przy pętli (widoczność, komunikacja i... cały Park do dyspozycji). Organizacyjnie podział budowy etapów był taki, że Ania zajmowała się etapem TD/TP, Waldar – pierwszym etapem dla TS/TJ, a Robert drugim w tych kategoriach. I do dzieła!

Zdobycie map jakoś się powiodło. Starsze i nowsze dziesiątki, do tego mapy rastrowe w dowolnej skali. Wybór więc był spory☺ Teren Parku nie jest zbyt rozległy, ale urozmaicony chyba najbardziej w Warszawie. Woda, najwyższe wzniesienie, czyli Góra Szczęśliwicka (całoroczny stok narciarski), działki, fort (choć nieczynny), kolej, centra handlowe w pobliżu, itp. Wszystko na jednym obszarze. Podzieliliśmy teren i rozpoczęło się kombinowanie. Ze względu na bliskość kilkakrotnie objechałem Park i okolice i wreszcie udało się sensownie ułożyć trasę i powoli wymyślić koncepcję. Tym razem taka kolejność (w odróżnieniu od przypadku, gdy jest koncepcja, a potem trasa dopiero).

W trakcie takiego kombinawijania tras dostaliśmy również formalną zgodę na InO oraz zapewnioną dyskretną obserwację

służb specjalnych, co nawet w pewnym momencie było jednak widoczne☺

W końcu na czas zostały przygotowane następujące trasy:

- w kategorii TD – trasa na pełnej mapie;
- w kategorii TP – „Rozerwij się”;
- I etap TS/TJ – „Megamix Hafanana”;
- II etap TS/TJ – „Mapa szczęśliwości”.

Zawody rozpoczęły się już od rana – jak to dla organizatorów – od rozstawienia lampionów (punktów kontrolnych). Przed godziną rozpoczęcia, na trawie przy pętli Szczęśliwice zaczęliśmy z Robertem rozstawianie namiotu. W tym momencie podszedł pewien starszy pan z zerwanym regulaminem, który wcześniej powiesiłem w Parku i zapytał czy tutaj będą zawody. Nawet usiłował już na wstępie przekupić (???) nas jakimiś wafelkami i cukierkami☺ W końcu po raz pierwszy rozstawiany namiot zaczął pełnić swoją funkcję. Pojawił się też stolik i krzesła. Tak historycznie patrząc na organizację WiMnO – toż to niemal była rozpusta☺ Przybywali kolejni uczestnicy, jednak bez prób „wkupienia się” w łaski organizatorów. Taki rozwój wypadków pozwalał przewidywać, że pan Henryk stawał się faworytem – czarnym koniem imprezy. Tradycyjnie w warunkach turystycznych, nienawykły do patetycznych przemówień, Waldar krótko powitał zgromadzenie i rozpoczęło się startowanie tzw. „lotne”, czyli wypuszczenie uczestników na zer InO-potworów, a potem kolejno w miarę przybywania, czyli zasada: wpadasz (do bazy) i wypadasz (start). Oczywiście nie obyło się bez wyjaśnień, w tym „pewniakowi” do zwycięstwa panu Henrykowi. W końcu namawiany usilnie przez organizatorów, dał się skusić na trasę TP/TD, żeby jednak w TS innym dać szansę. I ruszył z kopyta. Zbieranie punktów zrozumiał chyba zbyt dosłownie, czego można było się domyślać, skoro regulamin też... „zebrał” ze słupa☺ Po jakimś czasie przybiegł z jednym czy dwoma lampionami w garści, dodatkowo kasując wszystkich, bo

VI Marsze na Orientację WiMnO 2004

"MOGAMMI W-L-KA"

Kat. TS Hafanana



Parametry trasy:
 Długość: 4 300 m
 Limit czasu: 100' + 30'
 Liczba PK: 9 + 13LOP

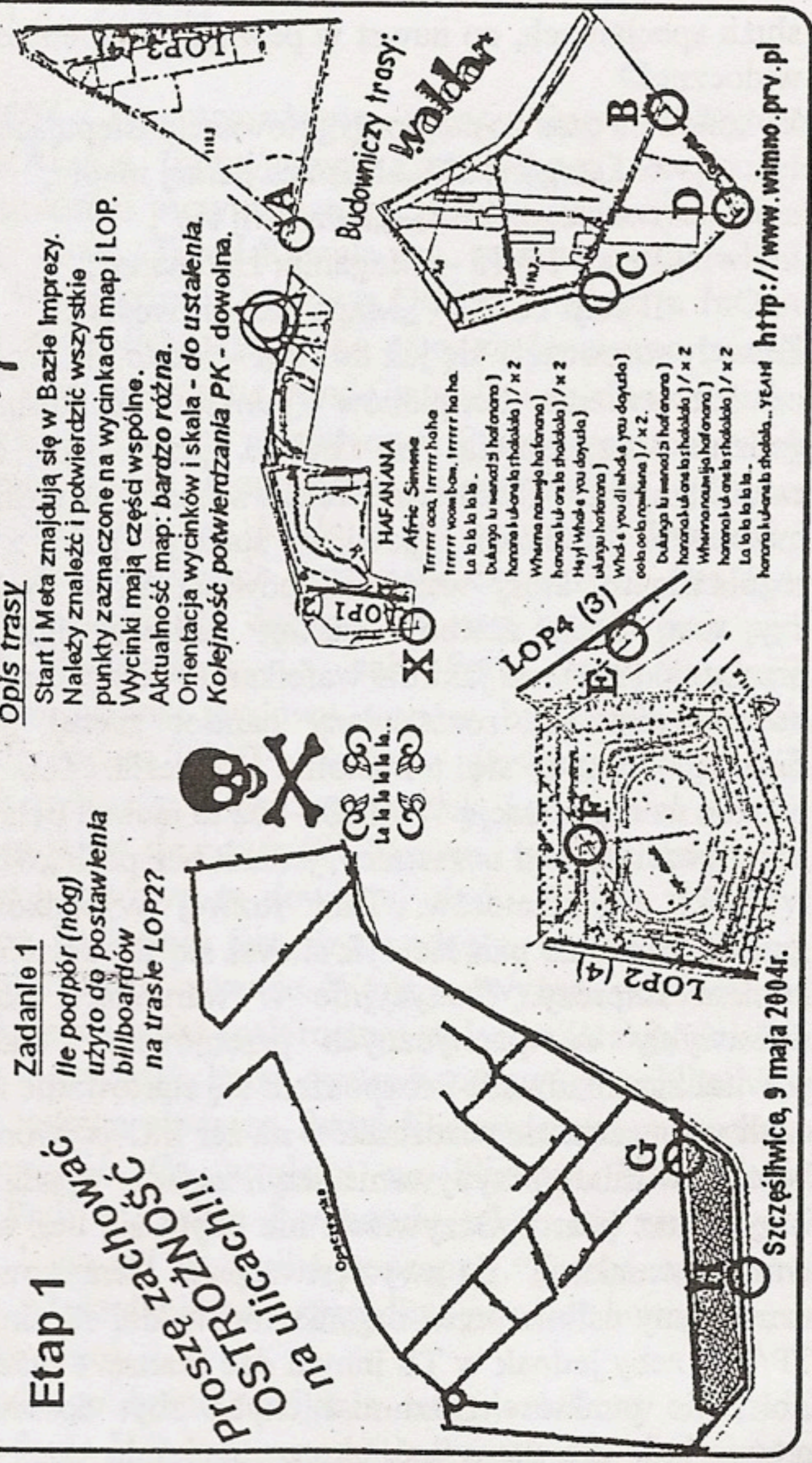
Etap 1

Proszę zachować
 OSTROŻNOŚĆ
 na ulicach!!!

Zadanie 1
 Ile podpór (nóg)
 użyto do postawienia
 billboardów
 na trasie LOP2?

Opis trasy

Start i Meta znajdują się w Bazie Imprezy.
 Należy znaleźć i potwierdzić wszystkie
 punkty zaznaczone na wycinkach map i LOP.
 Wycinki mają część wspólną.
 Aktualność map: **bardzo różna**.
 Orientacja wycinków i skala - **do ustalenia**.
 Kolejność potwierdzania PK - **dowolna**.



HAFANANA
 Afric Simena
 Trrrrr ooo, trrrrr ha ha
 La la la la la
 Dukeyo lu wawadzi hafanana) / x 2
 honoro k ubone la shobabala) / x 2
 Whama nana waja hafanana)
 honoro k ubone la shobabala) / x 2
 Hay! What e you doya!)
 ukayyo hafanana)
 What e you di whud e you doya!)
 ooo la la reghana) / x 2
 Dukeyo lu wawadzi hafanana)
 honoro k ubone la shobabala) / x 2
 Whama nana waja hafanana)
 honoro k ubone la shobabala) / x 2
 La la la la la
 honoro k ubone la shobabala) / x 2

Szczesliwice, 9 maja 2004r.

<http://www.wimno.prv.pl>

okrzył nawet Górkę Szczęśliwicką... podobno niejednokrotnie. Dopingu jednak nie stwierdzono 😊
 Pogoda dopisywała i po względnym spokoju organizatorów... zaczęły wracać pierwsze zespoły TP/TD. Wyjaśnianie wątpliwości i poczęstunek batonami (dzięki bezimiennym sponsorom GAT WAL-KA). W międzyczasie na drugi etap wyruszały zespoły TS. Wrócił również zadowolony pan Henryk i po kolejnej dawce opowieści wyruszył na obiad. Tymczasem wzrastało zachmurzenie. Pierwsi w kategorii seniorów wrócili jeszcze w miarę sucho, potem coraz bardziej przemoczeni. Na końcu Leszek wrócił już bardzo przemoknięty. Nawet pod namiotem robiło się zbyt mokro. Tuż po ostatnim zespole zaczęło się przejaśniać i w końcu znowu wyszło słońce. Wkrótce można nawet było zwijać namiot i... imprezę 😊
 Zebranie lampionów odbyło się nawet dość sprawnie i Park pozostał w stanie nienaruszonym (zbyttno przez InOwców). Wyniki, protokół oraz mapy znalazły się praktycznie w ciągu kilkudziesięciu godzin na stronach internetowych: www.wimno.prv.pl
 Podziękowania dla Ani i Roberta, którzy po raz kolejny profesjonalnie pomogli w organizacji WiMnO!
 Tradycyjnie także dyplomy dla najlepszych czekają na wręczenie 😊 Tradycji w końcu powinno stać się zadość! 😊
 Zapraszam na kolejne WiMnO już na Stanisława – 8 maja – oczywiście gdzieś w Warszawie 😊 Tym razem jest już koncepcja, a trasa się znajdzie 😊

Waldar



VIII CZERWNO 2004

Redaktor naczelny Azymutu ustawił poprzeczkę bardzo wysoko. Trzeba napisać na jutro o imprezie, którą się samemu robiło i to w dodatku już prawie dziesięć miesięcy temu.

Jako, że poza merytoryką z „Szefami” nie zwykłem dyskutować o konieczności wykonania zadania, więc postaram się przekazać kilka informacji. Będą one na pewno subiektywne. A dlaczego? Patrz wyżej!

Impreza została przygotowana jak zwykle w gronie rodzinnym, a oprawę graficzną (dyplomy i naklejki) zapewnił kol. Andrzej Mroczek. Start i meta na pograniczu Białołęki i Phudów z dogodnym dojazdem zarówno MZA jak i transportem prywatnym. Termin: niedziela, 6 czerwca 2005 r.

Trasy TS i TJ pokrywały się całkowicie, a zróżnicowany został tylko limit czasowy. Do potwierdzenia było 13 PK, z czego 6 naniesionych w skali mapy z powiększoną w innym miejscu sytuacją terenową, którą trzeba było dopasować i z tak zlokalizowanego PK wyznaczyć kolejne na zasadzie azymut – odległość. Dodatkowo dwie LOPki z koniecznością potwierdzenia na nich 2 i 3 PK. Jeżeli pierwsza przebiegała ewidentnie wzdłuż drogi przy linii wysokiego napięcia, to zlokalizowanie właściwych PK na drugiej wymagało precyzyjnego namiaru. Jak na mecie powiedział Sławek Otap: „...drugą LOPkę postawiłeś bardzo chytrze”. Rzeczywiście sprawiła ona większości uczestników pewne kłopoty.

Pozostałe PK generalnie w opinii uczestników nie nastręczyły większych kłopotów. Kontrowersje dotyczyły rzekomego braku PK4, który prawidłowo zlokalizował tylko jeden uczestnik trasy TS i połowa uczestników TJ. Pozostali chyba „oszczędzając czas” nie spenetrowali terenu i jego ukształtowania.

Wiem, że każdy może się pomylić. Ale trochę samokrytycyzmu by się przydało. Co prawda jest to temat na inny artykuł. Dziwi

mnie bardzo dość częsty fakt, że część uczestników naszych imprez potrafi precyzyjniej niż budowniczy stwierdzić, gdzie powinien być ustawiony punkt. Istnieje tutaj taka drobna różnica, że uczestnik ma tylko fragmencik mapy, punkt jest do wyznaczenia i trzeba dotrzeć do niego na azymut i odległość zmierzyć w terenie znacznie pofałdowanym, a budowniczy ma pełną mapę ze wszystkimi szczegółami. Myślę, że autorytatywne wypowiedzianie się o tym czy np. punkt był na bliższej czy dalszej górze może dać dużo do myślenia o tym czy na trasie nie korzystamy ze zwyczajowo (*i regulaminowo – przyp. red.*) „zakazanych pomocy”?

Trasa, TP jak zwykle pełna, chociaż czarno-biała mapa. Naniesione, 10 PK i LOP(3). Generalnie nie sprawiła nikomu kłopotu. Gorszy wynik jednego z uczestników należy złożyć na konto tego, że był on na takiej imprezie po raz pierwszy.

Kilka słów poświęcić trzeba uczestnikom trasy TJ.

Jak zwykle jest na niej najmniejsza frekwencja. Wydaje się, że uczestnicy tej trasy traktują swój udział w imprezie bardzo rekreacyjnie. Korzystają z tego, że ich metryka pozwala na start w osobnej kategorii. Coś już wiedzą o turystycznej orientacji, a brak im odwagi żeby wystartować na TS, bo na TJ nawet odpuszczając fragment trasy można wygrać. W przypadku tej imprezy zwyciężczyni uplasowałyby się w środku stawki TS. Jest to potwierdzeniem tezy, że wiedzą, o co chodzi.

Zastanawiam się, jakich bodźców użyć, żeby startujący w tej kategorii zechcieli bardziej rywalizować pomiędzy sobą, a nie tylko zaliczyć trasę. Wiem, że wiek ma swoje prawa, pewne rzeczy traktuje się na tzw. luzie, ale pomyślcie czy nie warto mieć satysfakcję z tego, że powalczyło się na trasie, że przeszło się ją na maksa, a nie tylko zaliczyło. -

Ogólnie Ci, którzy przybyli uznali imprezę za udaną. Pogoda też dopisała.

Wyniki kategorii TS

m	zespół	skład	PK 90	PK 60	PS	PM	O	Z	T	Σ	TMWIM
1		Orap Sławomir	-	4	13	-	-	4	27	116	1000
2	KTE TRAMP	Antoniak Przemysław Dombi Tomasz	-	-	2,13	-	-	10	80	140	981
3	Mława	Krause Ewa Daniszewski Krzysztof	-	L	2	4,L	-	10	8	163	964
4		Pietrzak Roman	-	-	6,13	4,L	-	7	70	187	946
5	KTE STYKI	Buciak Piotr	-	6,L	2,10	4,L	-	10	310	550	671
6	GAT WAL-KA	Tybuś-Kamela Anna Kamela Robert	5,7	4,6,8,9,L,L,L	2	-	-	10	15	650	595
7	„Jedynka”	Kalicka Maria Segit Michał	5,7,10,12	4,6,8,11,L,L,L,L,L	2	-	-	10	11	921	390
8	KTE STYKI	Ostrowski Maciej	-	L	2,5,6,13	4,L	-	10	790	1020	315
9	TORFIAKI	Kurzawska Ewa Kurzawska Klaudia	10,12	4,6,8,9,11,13,L,L	2,5	-	5,10,12	10	390	1040	300

Wyniki kategorii TJ

1	XXVI LO	Wojtacka Agnieszka	10,12	11,L	2,5	11	3,5,7,10	10	22	452	1000
1	XXVI LO	Lange Basia	10,12	11,L	2,5	11	3,5,7,10	10	22	452	1000
3	M&M	Pieniak Marzena	3,5,7,10	4,6,8,9,11,L,L,L	12	10	-	10	-	880	676
3	M&M	Muzyło Marysia	3,5,7,10	4,6,8,9,11,L,L,L	12	10	-	10	-	880	676

TE SAME MIEJSCA, CI SAMI LUDZIE...

XV MIKOWMANO ŁOCHÓW, 2-3 PAŹDZIERNIKA 2004 R.

Łochów to bardzo przyjemne miejsce niespecjalnie daleko od Warszawy, dobrze znane w naszym środowisku. Już kilkakrotnie miałem możliwość, dzięki „Pielgrzymom” z koła PTTK nr 107, gościć tu z okazji kolejnych edycji MiKowManO. Zeszłoroczna wizyta potwierdziła dawne pozytywne wrażenie. I chociaż bardziej w relacji publikowanej przed laty na łamach „Azymutu” zajmowałem się wychwalaniem wonnej leśnej atmosfery wokół bazy zawodów, jaka mnie urzekła (Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych sąsiaduje z pięknym zagajnikiem), niż relacją z tras, tym razem również na pierwszym miejscu stawiam psychiczny relaks i solidną dawkę bliskiego kontaktu z jesienną przyrodą, jakiej doświadcza się w Łochowie; wystarczy tylko wysunąć nos poza próg szkoły.

A zatem znów się powtarzam, jak jakiś stary maruda chyba. Nie mogę się jednak powstrzymać, bo taki wybór bazy zawodów, to dla mnie spora wartość, niebagatelna dla oceny imprezy w całości. Stary maruda jest jednak również złośliwy i umie się „czepiać”. Napaść na organizatorów rozpocznie od nazwy zawodów – dziwoląga „MiKowManO” (ta napaść nie jest pierwsza zresztą). Do wątpliwości językowych doda tym razem jeszcze szpileczkę: w tych mistrzostwach koła nr 107 jedynymi członkami tegoż koła byli... organizatorzy (podejrzewam, że dzieje się tak od lat). Jeśli się mylę, obiecuję odszczekać; jeśli nie – pytam, czy naprawdę nikogo w Pielgrzymie, poza rodzinami Ceglińskich i Łuciów, orientacja

nie interesuje? Wtedy przecież mistrzostwa nie mają sensu, gdyż organizują je wszyscy zainteresowani, a nazwa brzmi megalomańsko.

Powiecie – słusznie zapewne – nieładnie się tak czepiać, i to takiej drobnostki jak nazwa. Bo przecież wiadomo, jak trudno jest zrobić trzyetapową imprezę z transportem autobusowym, bazą noclegową itd. itp. Każdego szaleńca, który się na coś takiego poważy, należałoby wychwalać pod niebiosa. Zanim więc przymierzę się do kolejnej szpileczki, chcę oddać honory wszystkim organizatorom XV MiKowManO za ich pracę.

Teraz obiecana szpila: na trzy trasy prawdziwie profesjonalna okazała się jedna, ostatnia w chronologii. Maksimum swojej punktowej oceny przyznaję Januszowi i Jakubowi Ceglińskim za trasę „Walka o podium”. Niebanalny pomysł połączenia znanych elementów gier orientacyjnych – szwajcarki, dopasowywania częściowo na siebie nachodzących identycznych figur geometrycznych z zastosowaniem obrotów, luster i okrojeniem treści nie byłby jeszcze w sumie niczym godnym chwalenia, gdyby nie świetne wyczucie miary skomplikowania całego zadania. Moi nieliczni Czytelnicy wiedzą, że takie wyważenie trudności cenię niezwykle wysoko. Dlatego ponownie chylę czoła przed autorami „Walki o podium” i twierdzą, że zrobili trasę na wysokim pucharowym poziomie. W dodatku z kolorową mapą, komputerowo dopracowaną, wyraźnie wydrukowaną, czytelną we wszelkich szczegółach.

Pozostałe trasy odbijały od „Walki” już choćby poziomem reprodukcji mapy. Wystarczy wszystkie trzy wziąć do ręki i porównać. Ta uwaga stanowi podstawowe zastrzeżenie w odniesieniu do trasy pierwszej – „Łapówka” – zrobionej gościnnie przez Darka Walczynę. Mapa została wyskanowana na tyle niewyraźnie, a koncepcja trasy była na tyle prosta (wszystkie rączki poza jedną w planie i pełna mapa), że zadawałem sobie pytanie, czy utrudnienie czytania samej mapy

nie zostało zamierzone świadomie. Jeśli tak było, chcę wyrazić sprzeciw wobec podobnych metod; wolę bardziej wyrafinowane intelektualnie utrudnienia.

Z kolei u Staszka Łucia (trasa druga – „Naszyjnik łośia”) zabrakło tego, za co najbardziej chwaliłem „Walkę o podium”: wyważenia trudności. Koncepcja w zasadzie prosta – zestaw wąskich prostokątów do ułożenia w ciąg według podanego schematu. Jednak okazało się to niemal niewykonalne. Żle zostały opracowane wskazówki przejścia z poprzedzającego prostokąta na następujący, strzałki kierunkowe bardzo schematycznie i nonszalancko rzucone na papier, do tego Staszek posłużył się bardzo nieaktualną mapą – pełnej listy grzechów nie byłem w stanie do końca sprawdzić, gdyż przebyłem chyba najwyżej 2/3 trasy.

Zadania orientacyjne autorstwa Staszka przechodzą pewną ewolucję; nie mogę jednak powiedzieć, że w dobrym kierunku. Pamiętam jego trasy dawniejsze – wyraźnie lepsze od obecnych. Przez „lepsze” rozumiem takie, które są przede wszystkim wykonalne, a przy tym satysfakcjonujące dla uczestników, bo przecież to dla nich powinny być budowane. Zastanawia mnie, że po raz kolejny, robiąc trasę, nie udaje się Staszce „wejść w skórę uczestnika”; po raz kolejny spotykamy się z jego zdziwieniem, że nikt nie odczytał prawidłowo jego zamierzenia, bo przecież „trasa była naprawdę prosta”.

Jak z tego wybrnąć? Sądzę, że poprzez nawiązanie współpracy, chyba najlepiej z Januszem Ceglińskim, jak to już dawniej Staszek robił. Przyniesie ona, mam nadzieję, potrzebne drobne korekty, które „udroźnią” trasy, pozwalając nam je przebyć w całości, na czym przecież i ich autorowi na pewno zależy.

Nie chcę kończyć relacji w tak marudnym tonie „czepialstwa”, w dodatku pamiętając cały czas o drugiej stronie medalu, tak pamiętnie wyłożonej w klasycznym już tekście Staszka „Dola organizatora” (na marginesie: proszę Redaktora o powtórzenie

go na łamach dla przypomnienia problemu). Będę pamiętał wzorowe przeprowadzenie samej imprezy: modelowe ustawienie roli kierownika, rodzinną atmosferę w bazie, kameralność dającą psychiczny odpoczynek od codziennego gwaru, a przede wszystkim niezwykle interesującą wycieczkę autokarową do uroczo położonego Kamieńczyka nad Bugiem, pełnego wspomnień swojej świetnej historii, dziś sennego miasteczka z niesamowitym prywatnym muzeum, o którego istnieniu nawet nie miałbym do tej pory pojęcia, gdyby nie Staszek Łuć i kierowane przez niego XV MiKowManO.

Tomasz GRONAU



SAMOCHODEM PO PUŁTUSKU

Jedną z dodatkowych atrakcji PODKURKA, imprezy pucharowej, która odbyła się w dniach 22-24 października 2004 roku w Pułtusku, była Trasa Motorowa (TMot).

Budowniczym tego etapu był Andrzej Przychodzeń. Dystans wynosił 17 km i należało pokonać go w czasie 70 minut, z dodatkowym limitem 60 minut. Przekroczenie dodatkowego limitu było karane taką liczbą punktów karnych, że nasze „marszowe” ciężkie minuty to przy tym pestka.

Zasady pokonywania trasy motorowej nie są łatwe do ogarnięcia dla nowicjusza; tym samym nie podejmuję się ich opisać. Przed startem zainteresowani otrzymali opis reguł obowiązujących na etapie. Była to długa lista, zawierająca określenia w rodzaju: „constans z natury”, „detale punktów”, „przejazd z natury”. Na szczęście „itinerer”, termin oryginalnie pochodzący z zawodów motorowych, jest nam już dobrze znany, bowiem koncepcja ta była już wykorzystywana na trasach pieszych. Sądzę, że podobnie dziwnie brzmią dla niezorientowanych stosowane w naszym żargonie określenia w rodzaju: „LOPka”, „stowarzysz” albo „czesanie”. Należy podkreślić, że wśród różnych informacji na temat elementów przejazdu etapu, na pierwszym miejscu wymieniono przepisy ruchu drogowego, których na trasie należy bezwzględnie przestrzegać.

W etapie wystartowało 6 załóg. Drużyny składały się z dwóch osób: kierowcy oraz pilota, ale ze względu na duże zainteresowanie tą formą zawodów w większości startujących samochodów na tylnych siedzeniach znajdowali się obserwatorzy.

Ja też najchętniej zajęłabym pozycję obserwatora, ale ponieważ do Pułtuska wybrałam się samochodem, nie miałam wyboru i musiałam startować jako kierowca. Miejsce pilota zajął jeden z kolegów, zaś w roli doradców i obserwatorów jechali z nami Mariusz i Przemek.

Wyruszyliśmy na trasę. Na starcie otrzymaliśmy kartkę, na której znajdowały się dwie mapy fragmentów Pułtuska (w skali 1:5000 oraz 1:10000) z naniesionymi punktami, mającymi swoje odpowiedniki w opisie trasy znajdującym się na drugiej

kartce. Wszystkie mijane po drodze punkty znajdujące się z prawej strony jezdnii należało wpisywać do karty startowej. Punkty te były bardzo solidne, duże, zupełnie inne od używanych w „naszych” zawodach lampionów.

Zawody odbywały się późnym wieczorem, miasto było już wyludnione. Spokój, cisza i... samochody zawodników mknące z piskiem opon po pustych ulicach. Tak to sobie wyobrażałam. Okazało się jednak, że wcale nie jest łatwo mknąć, kiedy pilot nie bardzo radzi sobie z mapą... A raczej nie tyle z mapą, ile z regułami postępowania, z których nie wszystkie były dla nas jasne, zaś niektóre, jak się potem okazało, zostały niewłaściwie zrozumiane i zastosowane – jak to u początkujących bywa. Krótko mówiąc: było więcej stania (i zastanawiania) niż jechania.

Zabawa była przednia. Kręciliśmy się w kółko, w myśl zaleceń z opisu trasy (albo tego, co nam się wydawało), spotykaliśmy inne załogi. Zdarzyła się wszakże niemiła przygoda...

Jeden z fragmentów trasy wymagał wjechania w ślepy zaułek, ciemny, porośnięty krzakami, opustoszały. W okolicy stały nieliczne i zaniedbane baraki – kawałki szkła świadczyły, że w miejscu tym w bardziej sprzyjających warunkach pogodowych odbywają się libacje. Miejsce nie było miłe i po spisaniu punktu szybko i z ulgą z niego odjechaliśmy, starając się nie najechać na ostry kawałek szkła. W zaułku nie poszczęściło się natomiast drużynie z Gdańska. Ktoś, zapewne zbieracz złomu, ukradł pokrywę ze studzienki kanalizacyjnej, i samochód z Gdańska pacnął przednim kołem w niezabezpieczony i niewidoczny otwór. Na szczęście są telefony komórkowe; pechowi zawodnicy wezwali posiłki. Przyjechała na ratunek drużyna ze Śląska, powróciliśmy i my.

Sytuacja nie wyglądała wesoło. Miałam wrażenie, że nie obejdzie się bez interwencji fachowej pomocy drogowej. Na szczęście przy pomocy silnych kolegów (na miejscu były trzy drużyny) oraz solidnych drewnianych drzwi udało się

wyprowadzić samochód z pułapki. Po szybkiej wymianie koła gdańska drużyna jak gdyby nigdy nic kontynuowała zawody. Czyli wszystko dobrze się skończyło – ale nie da się ukryć, że cieszę się, że nie padło na mój samochód. Co prawda na trasie był moment, kiedy to ja obawiałam się o całość zawieszenia...

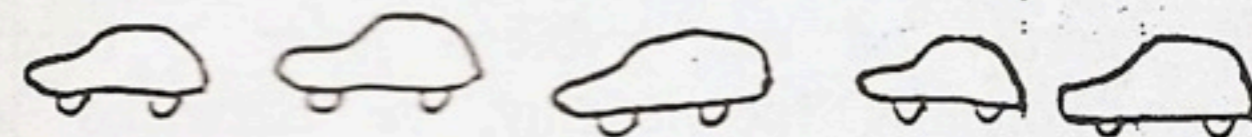
Zdarzyło się to tuż przed końcem trasy. Zgodnie z regułami zawodów do samochodu-mety należy podjechać tak, aby meta była z prawej strony. Tymczasem dojechaliśmy tak, że meta była z lewej strony drogi. Zatem należało jechać dalej, bowiem zawracanie na drogach jest zabronione, z wyjątkiem nakazu organizatorów. Te poszukiwania doprowadziły nas na prawie polną, wyboistą drogę, przecinającą starą linię kolejową i na tym przejeździe o mało co nie uszkodziłam samochodu. Później dowiedzieliśmy się, że tuż za metą przy drodze znajdował się umieszczony przez organizatorów znak nakazujący zawrócenie. Znaku tego nikt z naszej ekipy nie zauważył, co kosztowało nas dużo cennych minut i nerwów.

Po osiągnięciu mety (ostatecznie zrobiliśmy to z niewłaściwej, czyli lewej strony) należało jeszcze przejść próbę sprawnościową, czyli dwukrotnie przejechać na czas trasę slalomu wyznakowanego pachołkami. I tak jak na trasie większość zasług (ewentualnie przewin) należy do pilota – tak wynik tej próby zależy tylko od kierowcy. Dlatego bardzo się zdziwiłam, że nie byliśmy ostatni.

Ostatecznie zajęliśmy piąte miejsce, co zostało potwierdzone dyplomem.

Samochodowy spacer po mieście stanowił ciekawą atrakcję i sądzę, że następnym razem pójdzie nam lepiej. A wielkie podziękowania kieruję do Andrzeja oraz pomagającej mu rodzinnej ekipy.

Anna TRYKOZKO



OKIEM OUTSIDERA

- OPIS ZNALEZIONY W LESIE

Czy zdarzyło Wam się zablądzić na imprezie na orientację? Mnie zdarza się to często, więc mogę uznać się za kogoś w rodzaju eksperta w tej dziedzinie. Zwykle dzieje się to tak, że bierzemy azymut, odległość, idziemy, mierzymy i wychodzimy... w krzaki. Nie ma lampionów, nie ma innych uczestników, jesteśmy tylko my i głusza. No, czasem jeszcze jakiś dzik. I co wtedy robimy? Można wrócić do ostatniego punktu kontrolnego, można próbować znaleźć przyczynę błędu (może azymut źle ustawiony na kompasie?) i próbować ją naprawić, można nasłuchiwać, czy nie słychać gdzieś jakiegoś tramwaju, który po skasowaniu biletu zabrałby nas z powrotem na trasę. Pytanie dzika o drogę zwykle okazuje się najmniej skuteczne. Czasem jednak nic nie działa. Chodzimy jak pijane dziecko we mgle i zaczynamy rozumieć przymiotnik „turystyczne”, który czasem pojawia się przed nazwą „marsze na orientację”. Jeśli mamy szczęście, po jakiejś godzinie przed naszymi zdumionymi i już nieco zrezygnowanymi oczami pojawia się biało-czerwony kwadracik. Przez kolejne minuty zastanawiamy się czy to lampion czy fatamorgana (teraz już kochani organizatorzy wiecie, skąd się biorą moje ciężkie minuty), po czym kielkuje w naszej głowie odwieczne pytanie „Bić czy nie bić”. Radość z napotkania znajomego symbolu każe nam bić, intelekt jednak zadaje pytanie „A jak to opisać?”. Patrzymy w mapę, próbujemy dopasować, i ni diabła nie pasuje. Może lepiej nie bić? Może to pamiątka po trasie TP z zapomnianych przedwiecznych zawodów, które odbyły się tu kilka lat temu? Mamy poważny problem. Czasem jednak zdarza się, że w tym momencie niespodziewanie z kępki krzaków 20 metrów od nas wybiega jeden z bardziej utalentowanych kolegów (powiedzmy, że nazwisko jego zaczyna się na magiczną literę K) podbiega do lampionu, bije i

biegnie dalej. No to mamy zagwozdkę. Jeśli K podbił, to nie dość, że psim swędem wróciliśmy na trasę to stoimy jeszcze przy prawidłowym punkcie kontrolnym! Trzeba bić! Tylko jak to opisać? Ano, można nie opisywać wcale. To tylko 10 punktów karnych, jedna minutka w ciężkich. Albo poczekać z opisem do następnego punktu i „zerznąć” go od przypadkowo napotkanego tramwaja. Podbijamy więc punkt bez opisu i suniemy dalej w las, z nadzieją, że następne punkty kontrolne uda nam się znaleźć równie łatwo. I powiedzmy, że po pięciu minutkach wchodzimy na bardzo zgrabny tramwaj, który wwozi nas z powrotem na trasę. Przychodzimy na metę, zawody się kończą i czekamy na wyniki. Zastanówmy się pokrótce jak zostanie zinterpretowane nasze zachowanie na punkcie, na którym spotkaliśmy kolegę K. Ano dostaniemy owe 10 punktów karnych za brak opisu (lub opis nieprawidłowy) mimo, że kompletnie nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Co więcej, jeśli kolega K źle dobierze wycinek, to mimo, że przez cały czas „kontrolował” trasę i wiedział gdzie jest, może zostać oceniony w ten sam sposób co my. niesprawiedliwe? Ale regulaminowe, zgodne z zasadą inowskiej „złotej wolności” głoszącą, że wszelkie wątpliwości należy interpretować na korzyść uczestnika. (Oczywiście na korzyść naszą, a nie tego drania K!). Co z tego, że uczestnik przez pół trasy nie wiedział gdzie jest, ważne, że ma wpisane odpowiednie kody. Hmmm... to może w ogóle nie dawać mu mapy? Nie jest mu ona potrzebna do tego, żeby decydować, czy podbić dany lampion czy nie, to po co ma ją dźwigać? Jeszcze zgubi i się las zaśmieci... liczy się intuicja! Opis jest traktowany przez obecny regulamin jako rzecz trzeciorzędna. Jego brak lub błędy w nim popełnione (i to nie zależnie od tego ile ich jest!) są karane bardzo delikatnie 10 punktami karnymi. A o czym tak naprawdę mówi obecnie opis? Zgodzę się, że nie jest on zbyt istotny na trasie TP, gdzie ułatwia on sędziemu stwierdzenie, który punkt kontrolny

podbija aktualnie uczestnik. Na trasach dla zaawansowanych (TS, TJ) jednak to właśnie opis mówi o tym, czy uczestnik wie gdzie jest, czy radzi sobie z zadaniem postawionym mu przez organizatora. Moim zdaniem powinien być zatem traktowany jako rzecz równie ważna jak kod punktu kontrolnego. Co może oznaczać brak opisu? Prawdopodobnie tyle, że uczestnik totalnie nie wie gdzie jest i bije bezmyślnie pierwszy napotkany lampion. Moim zdaniem taka sytuacja powinna być traktowana tak, jak potwierdzenie punktu mylnego.

Na różnych imprezach często spotykamy się z opisami wielocłonowymi. Bardzo często pierwsza część opisu mówi o tym, że uczestnik wie gdzie jest, a druga, że potrafi dopasować otaczający go teren do jednego z wycinków mapy podanych przez organizatora. Obecny regulamin nie pozwala ocenić obu tych umiejętności. Daje możliwość oceny „wszystko albo nic” - albo jest błąd w opisie, albo go nie ma. Uczestnik, który nie wie gdzie jest, jest tak samo traktowany, jak ten, który wie gdzie jest, ale nie potrafi dopasować wycinka do terenu. Moim zdaniem 10 punktów karnych powinno być przyznawane za nieprawidłowy element opisu, a nie cały opis. Można się zastanowić, czy nie zróżnicować wielkości kary, jaką dostawało by się za błąd w opisie dotyczącym położenia uczestnika (moim zdaniem powinien być on bardziej ważący – np. 10 pkt. kar.) i kary za błąd w dopasowaniu wycinka (proponuje mniej ważącą karę np. 5 pkt. kar.).

Warto też wreszcie doprecyzować, że opis musi być wpisywany na punkcie (kredką). Sam byłem świadkiem, jak na mecie jednego z etapów uczestnicy dopisywali długopisem opisy do karty startowej stosując zasady rządzące kołem fortuny. To nie o to chodzi.

Przy okazji dopomnę się o doprecyzowanie zapisu regulaminowego o Maksymalnej Odległości Punktu Stowarzyszonego (MOS). Obecnie przy większości koncepcji trudno tak naprawdę ten przepis stosować. Z wątpliwościami

spotkałem się obserwując etap 2 tegorocznych Drużynowych Mistrzostw Polski. Na mapie etapu położenie punktów kontrolnych (opis liczbowy) w terenie pokazywały strzałki na „widoku z balonu” zawieszzonego nad fortem w Beniaminowie. Do tego podane były wycinki mapy (opis literowy), które należało dobrać. Podany był MOS, który miał zapewnić, że uczestnicy będą korzystać z plastycznej mapy, a nie chodzić na intuicję starając się dobrać wycinek do lampionu. Zgodnie z ideą MOS-u na tym etapie zły opis liczbowy powinien być oceniany jako punkt mylny, a nie jako błąd opisu. Oczywiście podniosły się głosy, że tak być nie może bo „opis to opis”, a interpretacja regulaminu ma być na korzyść uczestnika. Spotkałem się również z kuriozalną wypowiedzią jednego z zachodniopomorskich przodowników, który jako kryterium właściwej interpretacji przepisów zastosował zasadę „korzyści własnej” – zastanawiając się nie nad tym, jak być powinno, ale jak na danej interpretacji wyjdzie jego drużyna. Prawdę mówiąc miałem nadzieję, że postaci tego formatu pojawiają się wyłącznie w moich artykułach (p. tekst o piłowaniu nogi zielonym stolikom). Ale wracając do meritum sprawy dla takiego etapu, jak drugi etap Podkurka moim zdaniem najlepszy byłby regulamin mówiący że:

1. brak opisu liczbowego traktowany jest jak punkt mylny (30 pkt. kar.)
2. błąd opisu liczbowego karany jest 10 pkt. kar.
3. brak lub błąd opisu literowego karany jest 5 pkt. kar.
4. o zastosowaniu przepisu o MOS decyduje opis liczbowy

Przy tych zmianach regulaminu etap mógłby być oceniany w sposób sprawiedliwszy, niż przy obecnych przepisach. Mam nadzieję, że możliwość zmian idących w tym kierunku zostanie przedyskutowana na najbliższym Zlocie Przodowników InO, a jeśli spotkają się one z uznaniem – Komisja InO ZG PTTK wprowadzi odpowiednie modyfikacje do regulaminów InO.